PROMYK

GAZETKA UCZENNIC GIMNAZJUM IMIENIA KRÓLOWEJ JADWIGI W KRAKOWIE.

ROK III. 15. STYCZNIA 1928. Nr. 1.

NIEMA TO, JAK KRAKÓW!...

(OBRAZKI).

I.

SEN O PRZESZŁOŚCI.

Pewnego sobotniego popołudnia wybrała się Haneczka na spacer. Dąży prosto na ukochany Kopiec Kościuszki, a tak jej lekko na duszy, że jutro niedziela, nie musi się uczyć, bo szczęśliwym trafem wszystkie powtórki się skończyły, a na nowe jeszcze czas!... Ani się spostrzegła, jak stanęła na Kopcu. Usiadła na wierzchołku głazu. Wzrokiem obejmuje cały wielki Kraków, morze domów i wśród nich wystające wierzyce świątyń, wszystko po obu stronach modrej wstęgi Wisły. Haneczka marzy... Widzi ten dawny, malutki Kraków, a nad nim górujący Wawel z zamkiem królewskim. Gród rozrasta się, powstają domy, kościoły, rozwija się znaczenie przemysłowe, handlowe, kulturalne i polityczne, bo przecież Kraków jest stolicą państwa. Ale przychodzą i smutne czasy dla niego: Dzicz tatarska zrównywa go z ziemią tak, że z trudem się dźwiga do dawnego poziomu, a jeszcze w tych ciężkich chwilach grozi mu drugie niebezpieczeństwo ze strony obcych kolonistów: zniemczenie i wynarodowienie. Ale zwyciężają siły żywotne narodu, Kraków pozostaje nadal miastem polskiem, stolicą królów. Stąd wychodzą mądre reformy dla kraju, stąd działa wpływ kulturalny na państwo, a i samo miasto staje się coraz wspanialsze, bo każdy panujący pragnie uświetnić swą rezydencję, a zarazem zostawić pamiątkę po sobie. Z przenie-

sieniem stolicy do Warszawy, kończy się okres politycznej świetności Krakowa. Miasto cichnie powierzchownie, ale w głębi żyje życiem patrjotycznem. Choć Warszawa stała się głową Polski, Kraków nie przestał być jej sercem. A potem smutne losy porozbiorowe... Jeszcze jeden błysk, powstanie kościuszkowskie: Wódz tu, na Rynku, składa przysięgę ufając, że do obrony Polski pomoże mu lud, krakowscy kosynierzy!... A potem okres martwoty pod obcym zaborem. Zdaje się już, że Polacy zapomnieli o swej przeszłości wolnej, wspaniałej, a przemienili się w wiernych poddanych najjaśniejszego cesarza. Ale nie! Gdy tylko błysła nadzieja odzyskania wolności, wszyscy zgodnie podają sobie ręce, aby działać wspólnie. Ustają kłótnie, jakiemi środkami tę wolność uzyskać; powstaje N. K. N. z siedzibą tu, w Krakowie. Miasto zrywa się z odrętwienia, jego mieszkańcy znów z ochotą ponoszą największe ofiary z życia i majątków dla Ojczyzny. Kraków przeżywa grozę wojny. O mały włos, a byliby go zdobyli Rosjanie. Aż nadchodzi upragniona chwila wolności; Kraków jest jednem z pierwszych miast, które wypędza zaborców i staje się znów nieodłączną częścią Polski-Macierzy.

Powoli znika sen o przeszłości. Pod wpływem rozpamiętywania doli i niedoli tego prastarego grodu Krakusowego, żywiej zabiło dlań serduszko Haneczki. Powiedziała sobie w duszy: „Ja nigdy nie przestanę gorąco kochać mojego miasta rodzinnego!... Niech inni wyśmiewają się z niego że stary, brzydki, cichy, nudny; ja rozumiem i szanuję jego majestatyczną powagę“! I z wyciągniętemi ramionami biegła z powrotem do Krakowa, powtarzając: „Nie opuszczę cię nigdy, moje drogie miasto, bo na całym świecie nie znajdę drugiego takiego kochanego, jak ty!... Niema to, jak Kraków“!...

II.
WAWEL.

„Oleczku, jeżeli chcesz poznać historję twego kraju, to musisz iść na Wawel“ — mówi często dziadunio, prowadzi Oleczka ze sobą na Zamek królewski i tam pokazuje, opowiada; a przytem sam cieszy się, że Zamek, sprofanowany przez obcych żołdaków, którzy rozkwaterowawszy się tu, niszczyli wszystko, co polskie, teraz przystraja się w nową szatę i odzyskuje dawną świetność.

Kierują swe kroki naprzeciw do Katedry. Mrok, chłód i poważny nastrój świątyni działa na umysł kojąco i zmusza do skupienia uwagi. Przechodzą od jednego sarkofagu do drugiego, dziadunio opowiada o królach, których prochy tu spoczywają; modlą się przed cudownym Chrystusem, przed grobem świętej Królowej. Potem schodzą do podziemi, odwiedzają groby królów, wieszczów i wodzów narodu i tu Oleczek dowiaduje się znów, jakie zasługi położyli dla Ojczyzny. Z mrocznych podziemi wychodzą na dziedzińce, zalane poświatą słoneczną. Na dziedzińcu arkadowym Oleczek z błyszczącemi oczkami słucha opowiadania o turniejach rycerskich, które tu się odbywały. Przez chwilę zdaje się chłopcu, że widzi potykających się rycerzy, całych w stal zakutych, na galerjach piękne królowe i księżniczki i słyszy, jak mury powtarzają echa oklasków zwycięzcy. Z największem wzruszeniem oglądają komnaty: więc to tu nasi królowie spędzali życie od kolebki aż do grobu, z tych samych okien spoglądali na roztaczający się u stóp Wawelu gród!...

Z wezbranemi od uczuć sercami, opuszczają dziadunio i wnuczek Wawel, to polskie Akropolis. Oleczek, schodząc ze stoków Wawelu, przysięga sobie w duszy czcić polskich królów i bohaterów i naśladować ich pracę dla Ojczyzny i miłość ofiarną dla niej, ich cnoty i zalety charakteru. Oleczek wstąpi w ich ślady, bo i on jest dzieckiem tego Krakowa, który ich także wychował, w którym oni działali. — Niema to, jak Kraków!...

III.
RYNEK.

Wandeczka ma ważny obowiązek do spełnienia: z Tarnowa przyjeżdża jej kuzynka Hala, która nigdy jeszcze Krakowa nie widziała, więc Wandzia musi jej Kraków pokazać i coś o nim opowiedzieć. Ale od czego tu zacząć? Chyba najlepiej od Rynku. Idą więc na Rynek, obchodzą go dookoła, Hala podziwia Sukiennice, Kościół Marjacki, malutki Kościółek św. Wojciecha, samotną wieżę ratuszową, każdą niemal kamienicę, tak wszystkie stylowe i piękne; długo stoi nad płytą pamiątkową, w miejscu, gdzie Kościuszko składał przysięgę. Wandeczka opowiada historję każdej z tych budowli, jak umie, a opowiada ładnie, bo słowa dyktuje jej serduszko, które gorąco kocha cały Kraków i wszystkie jego zabytki.

— Halu — rzecze na koniec — takim Rynkiem, jak nasz krakowski, mało które miasto może się pochlubić. On przez przeciąg wieków patrzał na cały szereg scen smutnych i wesołych, które się na nim rozgrywały. Tu skupiało się życie całego miasta, on był świadkiem doli i niedoli Krakowa, a często i całej Polski. Ja uwielbiam Rynek, bo po Wawelu na nim znajduję najwięcej narodowych pamiątek, drogich sercu każdego Polaka. Gdzie tylko spojrzę, wszystko przypomina mi dzieje mojej Ojczyzny. — Niema to, jak Kraków!...

IV.
NA GROBACH.

Niezmierną przyjemnością dla Marysi jest zwiedzanie Grobów w Wielki Piątek przed świętami Wielkanocnemi. Zabiera ją jej starsza siostrzyczka Jadzia zaraz po południu i chodzą, chodzą niestrudzenie. Czasem im się zdaje, że już wszystkie obeszły, a naraz Marysia przypomina sobie, że jeszcze przecież u OO. Franciszkanów nie były. A tuż zaraz jest drugi, OO. Dominikanów, więc znów go nie podobna ominąć, a dalej po drodze znajdzie się trzeci, czwarty, piąty... aż Marysia czuje, że już jej nóżki odmawiają posłuszeństwa i cichutko pyta Jadzię:

— Czy jeszcze dużo Grobów Bozi mamy do zwiedzenia?

— Ależ Marysiu, — powiada Jadzia — przecież byłyśmy dopiero może w dziesięciu, a wiesz, w Krakowie jest przeszło trzydzieści kościołów!

— Aż trzydzieści! — dziwi się Marysia; ta liczba, to dla niej nieskończoność, bo w szkole nauczyła się liczyć dopiero do dwudziestu.

— O Jadziu! — rzecze wreszcie. — To chyba w żadnem innem mieście niema tak dużo kościołów, jak u nas! Jak to ślicznie, że mieszkamy w Krakowie! — I z dumą wraca do domu, bo znów czegoś nowego nauczyła się o swem kochanem mieście.

Marysia jest zbyt malutka, aby jej Jadzia tłómaczyła, jak doniosłe znaczenie mają nasze kościoły, jako pomniki architektury, ile w nich nieocenionych dzieł naszych wielkich artystów-malarzy i rzeźbiarzy. Więc Jadzia rozważa to w swej główce i powtarza za Marysią: „Jak to dobrze, że mieszkamy w Krakowie! Niema to, jak Kraków“!...

V.
PLANTY.

Malutka Stefunia, odkąd tylko pamięta, zawsze przychodziła bawić się na Planty. Całe ranki i popołudnia spędzała tu, a chociaż tak często przychodziła, Planty nigdy się jej nie znudziły, bo zawsze znalazła jakiś nowy, ciekawy szczegół, który ją zainteresował. I maleńka lubi bardzo Kraków za ten prześliczny ogród w środku miasta, w którym ona przeżyła tyle uciech, bawiąc się tu ze swojemi rówieśniczkami. O! Takich Plant słonecznych, z masą zieloności i kwiatów, z sadzawkami, wodotryskami i łabędziami pewnie nie posiada żadne inne miasto, więc też: „Niema to, jak Kraków"!...

J. Z. VIII. kl.

KSIĄŻKA SZCZERYM I PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM CZŁOWIEKA.

Pozornie ma człowiek w życiu bardzo wielu przyjaciół. Liczba ich zwiększa się tam, gdzie rozpościera się atmosfera miłego szczęścia i możność zabaw. Do tego rodzaju przyjaciół należą ludzie. Znajdują się bezsprzecznie i tacy, którzy podadzą przyjacielowi w niedoli bratnią dłoń; są i tacy, którzy życie poświęcają dla sprawy przyjaciela, ale to tylko jednostki wybrane, to tylko jednostki szczęśliwe, które znają, co to za rozkosz nieść pomoc drugiemu. Oprócz tego każdy człowiek, który umie patrzeć i miłować, znajdzie wszędzie koło siebie lepszego stokroć przyjaciela od ludzi: Jest nim przyroda, która tak uspokaja, tak wzniosłe tylko uczucia może budzić, tak spokojnie nas wysłucha, pocieszy i nigdy nie zdradzi. Ale nie na tem koniec. Dużo jest ludzi o duszach jeszcze wznioślejszych i subtelniejszych, którzy za jedynego przyjaciela w życiu obierają sobie muzykę. Te tony łagodne, które w każdem nieszczęściu jak balsam spływają w naszą duszę. Najszczerszym jednak i najprawdziwszym przyjacielem człowieka jest książka.

Po największej części człowiek czyta książki dlatego, aby uprzyjemnić sobie czas wolny. Znajduje też w niej wtedy niewypowiedzianą rozkosz. Odrywa ona bowiem czytelnika od szarych, codziennych trosk i unosi go w świat zaczarowany, w świat ułudy, pełen idealnych marzeń, wspomnień, planów. Prawdziwie dobra książka odsłania nam obrazy, w których z lubością zatapiamy się, przeżywając wespół z jej bohaterami mniej lub więcej szczęśliwe losy.

Często, gdy jesteśmy przygnębieni, lub mamy jakieś zmartwienie, odczuwamy niewymowną chęć wyspowiadania się przed kimś, ktoby nas pocieszył, uspokoił i dobrą radą się przysłużył. Niejednokrotnie nie mamy nikogo takiego, lub natura w sobie zamknięta zmusza nas do milczenia. Bierzemy wtedy (czasem mimowoli) jakąś książkę do ręki, możliwłe treścią odpowiadającą naszemu chwilowemu usposobieniu i znajdujemy odpowiedź na gniotące nas pytanie. Człowiek bowiem, mając duszę zbolałą a umysł w jednym tylko kierunku wytężony, znajduje w każdej błahostce odbicie swego nieszczęścia. Tak też się dzieje i przy czytaniu książek. Tok akcji przedstawia nam się jako koleje naszego życia, a bohaterowie przez swe czyny, myśli lub słowa zdają się przesyłać nam ukojenie, zachętę do dalszych czynów i radę tem milszą, że pochodzącą od szczerego, bezinteresownego i wiernego przyjaciela. Po największej części bajeczne wprost opisy przyrody działają na nas tak uspokajająco. Słyszałam niejednokrotnie nawet, że ludzie wolą książkę za przyjaciela niż człowieka, bo z nią nie trzeba się sprzeczać, ani przekonywać jej, a znaleźć w niej można więcej przymiotów, niż u człowieka. Nie jest to jednak zupełnie słusznem, bo człowiek jest na to stworzony, aby żył razem z innymi ludźmi.

Największą przysługę pryjacielską oddaje człowiekowi książka jako nauczyciel. Nie mówię już o książkach naukowych, bo te nieraz są prawdziwemi skarbnicami wiedzy. Ale każda książka z tak zwanej „pięknej literatury" popycha umysł do myślenia i zastanawiania się, aby zrozumieć to, co się czyta. Pobudza do pracy wyobraźnię. Wyrabia smak estetyczny i pomaga do składnego budowania zdań. Najważniejszą rzeczą jednak jest to, że przedstawia człowiekowi życie w oświetleniu prawdy, a nas, młodzież, uczy walki z niem i niewyobrażania sobie wszystkiego w różowych barwach. Z książki dalej, można się dowiedzieć wiele rzeczy ciekawych i nowych, tak, że horyzont wiedzy, pojęć i smaku bardzo się rozszerza.

Tego wszystkiego można wymagać i oczekiwać tylko od książki, która wyszła z pod pióra prawdziwie utalentowanego autora. Musi to być pisarz, który zna ludzi, zna świat, a za jedyny cel kładzie sobie to właśnie, aby każda jego książka była szczerym i prawdziwym przyjacielem człowieka. Wystrzegać się zatem należy książek o banalnej treści, pozbawionej głębszej myśli...

S. M., VI kl.

KINO A TEATR.

Oto dwie najmilsze rozrywki kulturalnego człowieka. Spełniają one podobne zadanie jak książka, z tą różnicą, że stawiają nam obrazy przed oczami, że mamy złudzenie rzeczywistości, podczas gdy drukowane słowo tego wszystkiego nie daje. Ale to martwe słowo uzyskuje rumieniec życia na scenie i ukazuje często widzowi piękno, któregoby może inaczej nie doceniał należycie. Porównanie wszakże teatru z kinem, a zwłaszcza opowiedzenie się, co wolę, jest rzeczą i trudną i kłopotliwą, bo właściwie nie można sobie z tego zdać dokładnie sprawy. Bo kino posiada zalety, któroch teatrowi brakuje, zaś teatr daje to, czego kino nie jest, a prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie dać.

Kiedy byłam małą dziewczynką, kina nie znałam i chodziłam na dziecinne przedstawienia do teatru, nie istniało dla mnie nic czarowniejszego, jak teatr. Dekoracje teatralne jako to domki itd. uważałam za prawdziwe i prawdopodobnie nigdy w życiu nie będę doznawała tak rozkosznych wzruszeń, jak tych, których dostarczało czarodziejskie wnętrze teatru. Było to może także i dlatego, że chodziłam do teatru niezmiernie rzadko, uważałam to za wielkie święto i wszystko, co się działo na scenie, niezmiernie mi się podobało, a całą akcję uważałam za rzeczywistą. Że małe dzieci w ogólności ulegają takiemu złudzeniu, niechaj posłuży za dowód fakt następujący:

Przed trzema laty byłam na przedstawieniu, na którem główną rolę „Czerwonego Kapturka" grała dziewięcioletnia artystka. Gdy Czerwony Kapturek skierował się w stronę, gdzie wilk ukryty czatował na nią, czteroletnie może boba, siedzące przedemną, zaczęły krzyczeć razem: „Nie, tam wilk, tam wilk", a gdy wilk się zbliżył, rozległ się krzyk i płacz. — Te złudzenia znikają oczywiście z chwilą, gdy dziecko wyrasta i zaczyna się bardziej krytycznie na teatr zapatrywać. Widzi się wtedy, że dekoracje są tekturowe, góry i lasy malowane, deszcz i śnieg nędznie i naiwnie naśladowany, ruchu i przestrzeni brak itd. I tu się zaczyna supremacja kina nad teatrem. Te refleksje nie przychodziły mi na myśl, dopóki nie poznałam kina. Byłam zapaloną zwolenniczką teatru i w gruncie rzeczy jestem nią dotychczas. Kino jednak posiada mnóstwo pierwszorzędnych zalet, których brak teatrowi. A więc prawdziwe — przeważnie — zdjęcia z natury. Mamy więc morze falujące, rzekę płynącą, góry pokryte śniegiem, czujemy

niemal zimno czy gorąco, stosownie do krajobrazu. I tłum, ruch! Prawdziwa ulica, po niej chodzą ludzie, albo pędzą auta; skończyła się jedna, auto skręca w drugą. Pola, czy łąki są prawdziwe, gdy pada deszcz, widzimy, że ludzie zostali naprawdę zmoczeni, a liście drzew ociekają wodą i dygocą pod wpływem gwałtownego wiatru. Na tem tle tłumy poruszające się bynajmniej nie w ciasnej przestrzeni, jak w teatrze. Wszystko to robi wrażenie rzeczywistości.

Zasadniczą różnicą między grą aktora filmowego a teatralnego jest to, że gra kinowa jest wyłącznie mimiczna, a w teatrze są gesty jedynie zręcznym akompanjamentem słowa. Wskutek tego mówi dobry aktor w teatrze całkiem inaczej, niż dobry aktor w kinie, t. zn. aktor filmowy mówi możliwie najwyraziściej dla oka ludzkiego, podczas gdy artysta w teatrze — dla ucha. Ta niemota filmu, to jednak nie brak możliwości wyrazu, ale specjalna właściwość kina, która odróżnia tę sztukę od innych. Jest to sztuka pantomiczna. Nie znaczy to, ażeby kino było jakąś mniej wartościową namiastką teatru. Na ekranie jest mowa grą mimiczną i gdyby istniał film mówiący, to jest rzeczą wątpliwą, czy wyszłoby to filmowi na dobre, bo musiałby zrezygnować ze swego międzynarodowego znaczenia i gra mimiczna kolidowałaby z tendencjami akustycznemi. Film objaśniają napisy, które powinny być tak ułożone, aby wprowadzić widza w odpowiedni nastrój, czy efekt optyczny obrazu. Powinno ich być jak najmniej, aby nie rozrywały całości filmu, a widz mógł się domyślać o co chodzi z wyrazu twarzy aktora. Charakterystyczną rzeczą dla filmu jest to, że dekoracje i przedmioty martwe odgrywają tutaj również ważną rolę i są bardziej wyraziste, niż w teatrze. Wskutek obopólnego milczenia stają się przedmioty człowiekowi na ekranie niemal współmierne, towarzyszą mu i stanowią wraz z nim całość.

Także ważną rzeczą dla wywołania nastroju jest odpowiednia ilustracja muzyczna. — Oprócz gry aktorów najważniejszą rolę w kinie odgrywa reżyserja, ważniejszą jeszcze, aniżeli w teatrze. Do reżysera należy opracowanie, interpretacja, ewentualne zmiany scenarjusza. Jeden i tensam temat, np. jakaś powieść sfilmowana, może dać film wspaniały, albo też zupełnie niemożliwy, zależnie od opracowania reżysera. Wogóle środki techniczne, którémi operuje kino i możność przedstawienia na ekranie rzeczy nieprawdopodobnych i niemożliwych w teatrze jest tem, co stanowi

zaletę kina i prawdopodobnie to ściąga tłumy widzów do kina, podczas gdy teatry często świecą pustkami.

. Pomimo to, człowiekowi kulturalnemu kino nigdy nie wystarczy. Niema w niem tego bezpośredniego czaru słowa jaki wieje ze sceny, ani tej łączności między widzem a aktorem, jaka jest w teatrze. Żywe słowo, ten główny wyraz ludzkich przeżyć, połączone z naturalnością gry inteligentnego artysty jest tem, czego nam kino zastąpić nie zdoła. Z teatru czerpiemy, a przynajmniej czerpać pragniemy głębsze, szlachetniejsze i trwalsze wrażenia, aniżeli z kina i to jest wielkie plus teatru.

Dlaczegóż jednakże frekwencja teatru tak się zmniejszyła na rzecz kina? Przedewszystkiem obecna forma teatru jest nieco przestarzała z rozmaitych względów, między innemi tych, o których przedtem wspomniałam. Teatr musi szukać nowych dróg rozwoju i niewątpliwie je znajdzie. Jakie one mają być, tego nie wiem, ale czuję, że teatr w obecnej formie nie może i nie powinien pozostać, inaczej zmarnieje. Brak frekwencji jest widoczny nietylko u nas, ale we wszystkich, nawet największych teatrach świata. Zresztą my teatrowi stawiamy zupełnie inne wymagania, aniżeli kinu. Żądamy, aby teatr spełniał inne zadanie. Jeżeli się z kina wychodzi z niesmakiem po jakimś głupim programie, to nie mamy pomimo to do kina żalu. Bo kino jest rzeczą powszednią, poziomą, codzienną, jest rozrywką, służącą dla zabicia dwóch godzin po pracy. Ale w innym, niejako świątecznym nastroju ducha udajemy się do teatru. Jest on dla nas rozrywką jak gdyby odświętną i spodziewamy się w teatrze innych, głębszych wrażeń. Gdy ich nie odbieramy, czujemy żal i zawód. Nie chcemy być pobłażliwi jak n. p. w kinie wobec niedorzeczności scenarjusza, jak nie jest się pobłażliwym, ani obojętnym wobec tych, których się kocha, nie wybaczamy ani autorowi ani aktorowi, ale krytykujemy ich zawzięcie.

Jeżeli słowo i poezja mają królować w teatrze, to niechaj królują tam istotnie.

Bo prawdziwa sztuka, ta, co władać będzie ludzkiemi duszami, wyjdzie jednak z teatru...

H. S., VI kl.

DROGA DO FRANCJI.

(Dokończenie).

Po godzinie postoju pociąg rusza dalej i już „la bella Italia". Czy prawdą są te słowa? Odrazu powiadam że tak, chociaż zieloność znikła już a pozostały nagie skały o odcieniu perłowym i srebrnym, ziemia ruda zasypana kamieniami. Pociąg wydostaje się w szeroką dolinę rzeki Fello. Dolina ograniczona spadzistemi skałami, woda wydaje się zbiorowiskiem wszelkich możliwych odcieni koloru srebrnego i popielatego. Mimowoli zwracam oczy w górę. A niebo? Zaledwie gdzieniegdzie maleńka biała chmurka, drobna i przeźroczysta jak cienka tkanina, a zresztą błękit. Powoli góry rozsuwają się i oddalają, dolina rzeki Tagliamento rozszerza się i wjeżdżamy w nizinę Lombardzką. Po chwili Udine. Tu już ruch, gwar, chłopcy bufetowi krzyczą bez porównania głośniej niż nasi, sami pasażerowie robią też więcej hałasu niż nasi. Ale czy to nasi? Zupełnie nie! Oni są tak weseli i mili, zdaje się, że każdego już znamy od dawna, tacy prości i szczerzy. Tymczasem ściemnia się zupełnie, przez okno można jednak dostrzec długie a wąskie rzędy oliwek, poprzeplatane grzędami kukurudzy. Aż po trzech godzinach jazdy ukazuje się nagle jakieś długie światło z jednej i z drugiej strony pociągu. To złota smuga światła księżycowego, odbita w otaczającej nas wodzie. Jak okiem sięgnąć z obu stron, wszędzie woda, pociąg zaś jedzie po szerokim torze, zbudowanym sztucznie nad wodą, by połączyć ze światem laguny. Po chwili ukazują się małe wysepki, mieszczące na sobie jeden lub dwa skromne domki. Zwolna w dali ukazują się tysiące świateł, od których woda mieni się cała złotem i srebrem. Zjawiają się ciche, czarne kształty gondol, a w nich sylwetki wesołych gondolierów. Wreszcie wjeżdżamy na dworzec. Podobny gwar i rwetes, nikogo prawie niemożna zrozumieć, rzadko kto i nas zrozumie. Chcąc dojść do naczelnika stacji, by nam bilety przestemplował, „facchino" ciągnął nas po całym dworcu, aż wreszcie trafiliśmy przypadkiem. Bowiem Włoch zawsze udaje że rozumie dobrze po francusku, a tymczasem czynem pokazuje często iż zrozumiał, jeżeli już nie nic, to przynajmniej bardzo mało. Lecz każdy chce porozmawiać, pośmiać się, nawet tragarz i biletier. Wydostajemy się przed dworzec i nagle staję zdumiona. Na tle wysokich, czarnych kamienic — „canale grande". Woda ciemna skrzy się i mieni, zdaje się złożona z samych drogich

kamieni o wszystkich, możliwych barwach. A nad kanałem przerzucony olbrzymi most, pełny latarń, od których na wodzie błyszczą złote smugi. Z mostu przypatrujemy się w jedną i drugą stronę, gdzie kanał ten ciągnie się daleko.

Na drugi dzień o tej samej porze wsiadałam do pociągu idącego do Medjolanu. Podczas jej nocy, wspaniały obraz Wenecji stoi mi wciąż przed oczyma. W Medjolanie byliśmy już przed szóstą rano. Za godzinę odszedł pociąg do Ventimille. Między Medjolanem a Genuą krajobraz zupełnie nie uderzający, okolica górzysta i lesista, lecz całość bardzo blada. Ale za to pociąg szedł niesłychanie równo, bez żadnego kołysania. Gdy zwróciło to moją uwagę, zauważyłam nad sąsiednim torem druty. Równocześnie objaśniono nas, że na całej już prawie przestrzeni będzie maszyna elektryczna. Nad dworcem w Genui, niby przeźroczyste nakrycie, utworzone z drutów. Jak maszyny tak i cały dworzec niesłychanie czysty, z powodu naturalnie zupełnego braku dymu. Słońce już przypieka porządnie, toteż wzdłuż pociągu przebiegają wciąż chłopcy bufetowi, krzycząc: „gelati, gelati" (lody). Zaraz za dworcem w Genui przejeżdża się niedaleko ogromnego portu. Zwiastuje go las masztów i kominów różnokolorowych na tle błękitnego morza. Lecz obraz ten zasłaniają wkrótce kamienice wysokie, liczące najmniej po sto ar, zdające się ubiegać o pierwszeństwo, która z nich brudniejsza i więcej odrapana. Małe okienka osłonięte są wylatującemi okiennicami, pełne więdnących kwiatów, starych, porozbijanych garnków i najokropniej potarganych szmat. Dzielnica nie bardzo zachwycająca!

Minąwszy Genuę, pociąg zbliża się ku brzegowi morskiemu i już prawie cały czas idzie nad samym brzegiem. Ten, czasem jest urwisty, zupełnie bez plaży, wtedy ma się wrażenie, że lada chwila pociąg runie i wzburzy wodę o delikatnym odcieniu błękitnym, maleńkiemi, symetrycznemi falami uderzającą leciuchno o brzeg. Dalej, na pełnem morzu fale zlewają się w jedną taflę, która zdaje się być połączona z niebem. Dopiero po dłuższem wpatrzeniu się, można dostrzec delikatnie zarysowującą się linję horyzontu. Z drugiej strony toru kolejowego okolica górzysta, zrazu pokazują się lasy, czasem przedmiejskie jeszcze domy, bardzo biednie się przedstawiające. Dopiero po pewnym czasie zaczynają się stacje włoskich miejscowości nadmorskich, jak: San Remo, Ospedaletti i t. p. Tu budynki na dworcach zawsze białe, ocienione palmami i kwitnącemi rododendronami. W głębi można

dostrzec, że cała taka miejscowość składa się z will, wprost olśniewających swoją białością w prażącem słońcu. To też mniejsze rośliny przeważnie powiędłe, trawy zupełnie suche i ziemia cała sucha, koloru piasku. Plaże szerokie, kamieniste. Częste tunele są wprost plagą pasażerów, bo już jest zwykła maszyna parowa, dlatego w tunelu cały dym wchodzi do przedziałów.

Za Ventimille zaczyna się Riwiera francuska. Góry są tu o wiele wyższe, często spadzisto wpadają wprost do morza. Naogół nieco więcej zieloności, najwięcej jest jej przed Monte-Carlo. Tam góry obrośnięte gęsto drzewami, wspaniałe wille w ogrodach, plaża ogromna. Z małego wiaduktu między Monte-Carlo a Monaco można zobaczyć port, zamknięty w zatoce na tle wysokiego półwyspu skalistego, nad którym dominuje pałac księcia Monaco, Alberta I-go. Dokoła zatoki, niby domki w teatrze greckim, wznoszą się domy rzędami coraz wyżej, same szczyty gór są już puste, skaliste, pokryte lekką mgłą. Lecz znów tunel i znów jakaś miejscowość kąpielowa. Wreszcie, po bardzo długim tunelu, idzie pociąg w większą trochę dolinę. Poniżej linji kolejowej idzie droga automobilowa, w tym miejscu wsparta na kolumnach stojących już we wodzie. Sama miejscowość posiada stosunkowo dużo zieloności, otoczona jest szczelnie wysokiemi skalistemi ścianami. „Les Alpes Maritimes“ są prawdziwem dobrodziejstwem tego wybrzeża, gdyż chroniąc je od wiatrów, pozwalają na klimat niezwykle łagodny. Tymczasem uwagę moją zwrócił olbrzymi biały hotel, a obok niego może z dziesięć przepysznych placów tennisowych. Po chwili pociąg staje, to Beaulieu. Nie przypuszczałam wtedy wcale, że tu spędzę później całe 4 tygodnie. Znów kilka stacyj i tuneli i wjeżdżamy nareszcie w miasto duże, ruchliwe i gwarne. Szerokie ulice dążą prosto w stronę morza, po nich snują się sznurami auta. Na kamienicach przy torze ogromne fantastyczne reklamy i w jakiś czas ujrzeliśmy czerwony napis: „Nice-ville“.

H. N., VIII kl.

JAK WYGLĄDA ŻYCIE W OBOZIE P. W. K.

(Dokończenie).

Dnie były tam podobne jeden do drugiego, niby ziarnka w różańcu. Rano, o godz. 5½ „pobudka". Z początku niebardzo to tam się chciało tak wcześnie wstawać, ale po kilku dniach przyzwyczaiłyśmy się zupełnie i budziłyśmy się nawet same, zupełnie świeże i wypoczęte. Bo też nawet trudno było spać, gdy ranne słonko zaglądało do namiotu, a dokoła dzwoniła istna kapela ptaszęcych świergotów. Więc też i w namiotach rozpoczynał się ruch i gwar, a spieszyć się trzeba było, bo tylko 15 min. czasu na włożenie gimnastycznego kostjumu i przepisowe, „wojskowe" zaścielenie łóżka. Potem zaraz zbiórka i wy-



Wydawanie obiadu w O. P. K. W.

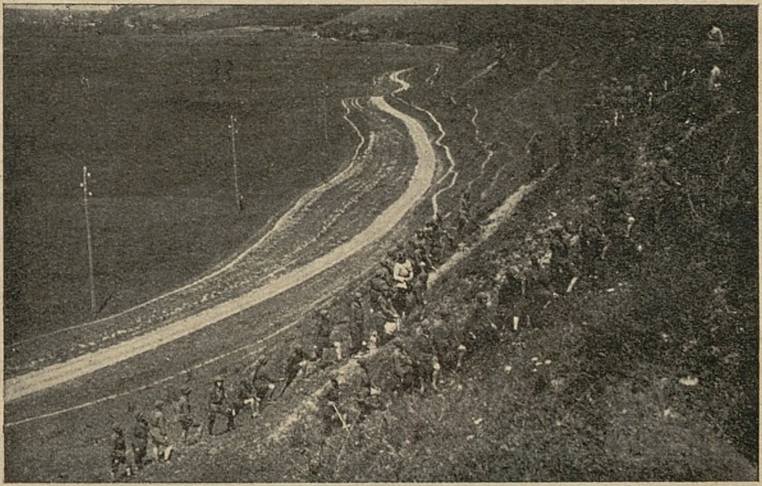
marsz nad rzekę, na poranną gimnastykę. Ta gimnastyka szła zwykle jeszcze trochę sennie — nieraz tam ktoś zepsuł jakąś malowniczą, gimnastyczną figurę dla przetarcia sobie oczu, albo przerwał piosenkę zupełnie niepolitycznem ziewnięciem; a już zupełnie niepodobały nam się, „płaskie siady", na mokrej od rosy trawie, i zwykle nie chciałyśmy tego wykonać dopóty, dopóki instruktorka od gimnastyki nie usiadła sama. Po skończonej gimnastyce, mycie w rzece, czesanie (naturalnie bez lu-

stra!), dokompletowanie garderoby i powrót do koszar; tam zupełnie po wojskowemu „raport poranny“ — przegląd czy wszystko w porządku, czy wszystkie przepisowo ubrane — bo zdarzały się i takie wypadki, że ktoś w pośpiechu zjawił się na zbiórce w jednej pończosze, a ktoś drugi włożył lewy bucik na prawą nogę, lub zamiast zawiązać krawat, nosił go w kieszeni. Potem następowała modlitwa chóralna; w mgnieniu oka poważniały wszystkie twarze i rzewne, proste słowa pieśni porannej rozlegały się uroczyście. Po modlitwie komendantka mówiła nam „Dzieńdobry“, a my odpowiadałyśmy chórem: „Dzieńdobry, pani komendantko!“ — z takim zapałem, że jeżeli jeszcze ktoś spał na przestrzeni pięciu kilometrów dokoła, to to w tej chwili napewno się obudził. Wreszcie padała komenda: „Po menażki, rozejść się“, „Po śniadanie, marsz“ — czego nie trzeba nam było dwa razy powtarzać, bo przy ciągłym ruchu na świeżem powietrzu, nikt nie cierpiał na brak apetytu. Po śniadanie szło się naturalnie „w ogonku“ dla utrzymania porządku; więc długie czekanie skracałyśmy sobie różnemi sposobami — urządzałyśmy „jazz-bandy“ na menażkach, albo śpiewałyśmy przeróżne piosenki własnego układu, jak n. p.: „W kuchni kucharz, niby pączek — nie wypuszcza łyżki z rączek — skąpo kawy mierzy, dziewczynkom nie wierzy!“ (co nie było prawdą, bo porcje nie tylko nie były „skąpe“, ale zupełnie dostosowane do naszych iście żołnierskich apetytów, czyli takie, że ktoś nieświadomy rzeczy, mógłby się zapytać, czy to ma starczyć na cały dzień). Czasem, kiedy padał deszcz, pochód taki po śniadanie był mniej sympatyczny — a mianowicie miałyśmy wtedy kawę z deszczówką, mokry chleb, mokre ubrania, mokre buciki — jedne tylko nasze humory pozostawały „niezamoczone“.

Po śniadaniu znów zbiórka i wymarsz na wykłady; ale niech sobie nikt nie myśli, że to wykłady takie, jak w szkole, że siedziałyśmy w ławkach w jakiejś sali, a przed nami katedra, tablica i inne okropności; nic podobnego! Za salę wykładową służył nam zwykle las, lub nawet wiejski cmentarz; siadałyśmy poprostu na trawie, gdzie komu było wygodniej i notatki pisało się „na kolanie“, a wykładowcy-oficerowie, w braku katedry opierali się o drzewo. Gdyby to każda szkoła mogła tak wyglądać! Jak to w takich warunkach nic nie męczy, jak szybko wchodzi wszystko do głowy! A wykłady te

były z przedmiotów — o których „cywile“ nawet zielonego pojęcia nie mają; n. p. służba polowa, służba wewnętrzna, organizacja armji, terenoznawstwo, łączność, obrona przeciwgazowa i t. d.

Często także miałyśmy ćwiczenia praktyczne; wtedy nie było już żadnych wykładów, ale odrazu rano wymarsz do jakiegoś dość odległego lasu, czy jaru i tam na rozkaz pana porucznika — niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, część dziewczynek zamieniała się w groźny patrol bolszewicki, a reszta w dzielne polskie wojsko — i zaczynało się podchodzenie, osaczanie, różne wojenne podstępy i „fortele“, godne pana



Ćwiczenia w terenie w O. P. K. W.

Zagłoby. Wreszcie po skończonej wojnie i bolszewicy i (zazwyczaj zwycięskie) oddziały polskie, w przykładnej zgodzie i przyjaźni powracały do domu, marząc — już nie o sławie, lecz o rzeczy zupełnie prozaicznej — o obiedzie.

Po obiedzie miałyśmy dwie godziny zupełnie wolne, które można było spędzić według własnego upodobania, byle naturalnie nie wydalać się z rejonu obozu.

Potem znów wymarsz na błonia — i aż do godziny 6-tej gry i zabawy, lekka atletyka — skoki, biegi, rzucanie oszczepem i dyskiem i t. p. — w tem przerwa na podwieczorek, który przy-

woziła nam na błonia kuchnia polowa, i na kąpiel. Wreszcie o godzinie 6-tej powrót do obozu — „rozkaz“, czyli odczytanie przed frontem wszelkich rozporządzeń na dzień następny — potem kolacja — i wreszcie to, na co cieszyłyśmy się przez dzień cały, t. j. ognisko. To skupiało nas co wieczór, jeżeli tylko pozwoliła pogoda; i płynęły piosenki — albo smutne, o „nieznanym żołnierzu“, „Jaśku, co poszedł do legjonów — rzucił kraj rodzinny“, czy o „żołnierskiej doli“; a czasem znów wesołe i zawadjackie, aż zdawało się, że płomienie jaśniej migoczą, a iskry strzelają aż pod niebo gwiaździste. Ale już późno — pora zakończyć śpiewy i gawędy; pada komenda: „Do modlitwy!“ — i wszystkie swawolne głosy łączą się i poważnieją przy słowach pieśni: „Pod Twą obronę“.

Potem jeszcze trochę gwaru, okrzyki: „Dobranoc pani komendantko“ — żarty, wybuchy śmiechu, wreszcie „capstrzyk“! Na odgłos trąbki cisza, jak makiem siał... czasem tam jeszcze z jakiegoś kąta doszły szepty cichutkie, czasem jakieś głośniej wypowiedziane słowo; pani komendantka chodzi jak duch po namiotach i coraz to w jakiś niespokojny kącik latarką poświeci; wreszcie zmęczenie i senność bierze górę nad dobrym humorem i chętką rozmowy — w namiotach zalega zupełnie „przepisowa“ cisza.

Wydawca: Komitet Rodzicielski. Redakcja: Komitet uczennic.
Kierowniczka Redakcji i odpowiedzialny redaktor: Dr C. Piórkówna.
Drukarnia Polska Franciszka Zemanka, Kraków, ul. Tad. Kościuszki 3.